

# TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

## PRENUMERATA ROCZNA WYNOŚI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ”	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ”
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie .....\$1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie .....\$2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azji 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azji 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 24.

Chicago, Ills., 9 Grudnia, 1886 r.

Rok III.

## DAMIAN RUSZCZYC

POWIEŚĆ

— Z —

### CZASÓW JANA III.

— PRZEZ —

FRYDERYKA hr. SKARBKA.

(Ciąg dalszy.)

Tu opowiedział Jordan wiadome już przykrości, których Marya z powodu gorliwego wstąpienia się za Ruszczycem doznała, i wszystko co następnie dla niego zrobiła. Podczas powieści jego widać było radość na twarzy Ruszczyca; a gdy skończył, zawołał z uniesieniem:

— Jordanie, wróciłeś spokojność duszy mojej. Szczerze żałuję za posądzenie szlachetności Modrzejowskiej, i pierwszej chwili wolności mojej użyję na to, ażeby jej złożyć dzięki za jej

poświęcenie się dla mnie i nakłonić ją do powrócenia do tego dworu, gdzie ją tak piękne nadzieje czekały.

— Próżnobyś się kwapił, nie znajdziesz jej już w stolicy, bo ją natychmiast po ostatniej bytności u dworu wraz z ciotką opuściła.

— Jakto, już odjechała? a królewicz co na to? cóż się stanie z dalszemi widokami naszymi?

— Na to wszystko nie umiem odpowiedzieć; zdaje się, iż doznane przez Maryą przy-

króci odstręczyć ją musiały od dłuższego pobytu u dworu.

— To potrzebuje wyjaśnienia. I ja postanowiłem porzucić dwór, który już moich usług nie potrzebuje; ale na to nie pozwolę, aby z mojej przyczyny Marya świętych widoków swoich wyrzec się miała.

Stosownie do takiego postanowienia żądał Ruszczyca uwolnienia od obowiązków, skoro tylko po oswobodzeniu swoim królowi był przedstawiony. Z rozrzewnieniem przyjął dowody łaskawości monarchy; oświadczył gotowość swoją służenia ojczyźnie w każdej potrzebie, lecz nie chciał przyjąć żadnych stałych obowiązków i wkrótce opuścił stolicę, pospieszając za Maryą, w nadziei, że ją jeszcze nakłoni do tego, aby się do dworu wróciła. Ona zaś nagliła była ciotkę do niezwłocznego opuszczenia Warszawy po ostatniej swojej bytności w Wilanowie; bo wewnętrzna żalność ścisła jej serce na widok tego wszystkiego, co jej dawną świetność przypominało, i osłabiało tę moc duszy, która ją do porzucenia dworu nakłoniła.

Wyjeżdżając ze stolicy napotykała po drodze karety z sześciokonnemi cugami, w całej świetności dworskiej do Wilanowa lub napowrót do Warszawy spieszące, którym się skromny podróżny pojazd podkomorzyny z drogi umykać musiał. Marya kryła się w pojeździe za każdym spotkaniem, bo upokarzającym był dla niej widok świetności dworskiej, od której na zawsze się oddalała, tak dalece iż unikała tego jako najpilniej, aby ją kto znajomy nie spostrzegł. Już miały zjeżdżać z tej drogi w dalszą podróż, gdy tuman kurzu nowe oznajmił spotkanie. Kilkunastu drabantów dworskich pędząc w przodku dali znak ustąpienia się na bok pojazdowi podkomorzyny, i zatrzymania się póki dworskie karety nie miną. Marya zasłoniła się w głębi pojazdu, lecz ukrywając się przed innemi, nie mogła się oprzeć ciekawości widzenia raz jeszcze przejeżdżających królestwa. Zbliżyła się poszóstna kareta laufram poprzędzona, siedziała w niej królowa i księżę Jakób, który wychylił się z karety i poglądał na pojazd podróżny, usiłując rozeznąć siedzące w nim osoby, a potem obrócił się szybko do królowej, jakby jej zdawał sprawę z dostrzeżeń swoich.

To spotkanie przeraziło Maryą pomimo słusznym powodów żalu do królewicza; rada była widzieć go jeszcze, tą nawet nadzieją cieszyła

się skrycie, gdy spostrzegła zbliżające się pojazdy dworskie, i ukrywając się w własnym pojeździe z bijącym sercem na przejeżdżający poglądała. Lecz pragnęła znaleźć jaką pociechę w wejrzeniu królewicza, cieszyła się tą otuchą, że ją pozna, że wówczas żal jakiś na jego twarzy malować się będzie; a tymczasem nie tylko obojętność, ale nawet pewien wyraz urągania na tej twarzy widać było. Tak się przynajmniej zdawało Maryi; bo kto w oczekiwaniu zawiedziony został, kto się musiał wyrzec samej nawet nadziei wzajemności, ten równie jest skłonny widzieć wszystko gorzej jak jest w istocie, i upatrywać przywary w ukochanej niegdy osobie, jak szczęśliwy kochanek wszystko na dobre tłumaczy i doskonałości w samych nawet przywarach upatruje.

Jakkolwiek przykrem było wrażenie, które Marya przy tem ostatniem spotkaniu odebrała, nie mogła wszelakoż oprzeć się uczucia tęsknej żalności, gdy przy zakręcie drogi raz jeszcze więzę stolicy ujrzała. Niedługo miały zniknąć z jej oczu te ostatnie przypominki miejsca, które złudzona jej wyobraźnia za świetny i dozgonny pobyt dla niej przeznaczała. Te szczyty jaśniejące zdaleka połyskiem promieni słonecznych były już zbyt wzniosłe i wspaniałe dla tej, która odtąd pod wieśniaczą strzechą wiek nadziei i wiek wspomnień pędzić miała. Pewniejsze były widoki szczęścia w tem wiejskiem ustroniu, do którego zmierzała, lecz obraz tej świetności, którą na zawsze rzuciła, zbyt mocno zajmował umysł aby się od niego oderwać i myśl do szczęścia bez chwały przenieść mogła.

Gdy wróciła do domu, zacierały się zwołna ślady wrażeń, które tak długo umysł łudziły. Rodzicielska troskliwość opiekunów, odbierane dowody szczerego przywiązania od domowników i od wieśniaczego ludu, wśród którego wzrosła, przypomniały Maryi, iż wróciła do tego grona serdecznie kochających ją przyjaciół, które niegdy z takim żalem opuszczała. Coraz rzadziej osiadał smutek na jej twarzy, a łza tęskna wspomnienia wtedy tylko zraszała jej lica, gdy w samotności nad minionym czasem rozpamiętywała, i utracone nadzieje jak sny marne w pamięci przebiegały.

Jedna myśl tylko trapiła ją ciągle; Ruszczyca zgłosił się wkrótce o jej rękę. Miał jeszcze dłużej puszczać w odwłokę spełnienie życzeń jego i wykonanie woli ojcowskiej, lub ślubować



temu, któremu tylko szacunek poświęciła, gdy inny jej serce zajmował? Miałż go zdradzać i zmyślonem łudzić przywiązaniem, lub też wyznać przed nim swe błędy? Miłość własna powstawała przeciwko tej ostatniej myśli, lecz przemagające uczucie szlachetnej otwartości nakazywało jej wykonanie jako nieodzowny obowiązek. Trudność jej położenia powiększyła się jeszcze, gdy wynurzywszy strapienie swoje przed podkomorzyną dowiedziała się od niej, iż owe szlachetne wyznanie, które Ruszcycowi uczynić zamierzała, było już zapóźne, z powodu że on od dawna znał jej skłonności i onym pobrażał. Jakże upokorzącą była dla niej ta wiadomość! Szlachetność postępowania Ruszcycyca wyższe dla niego jednała poważanie, lecz obok tego była pewnem poniżeniem dla Maryi. Ona dała się przewyższyć jemu w sposobie myślenia i we względach; on wszystko dla niej poświęcił, a ona dla niego nic nie uczyniła. Za tyle dowodów przywiązania ku sobie czemu mu się mogła wywdzięczyc? Czyliż ta ręka, która dla niego niegdy była tak pożądaną, może mieć dzisiaj jaką wartość, gdy ją tylko jako odrzuconą przez innego przyjmuje? Po tem, co dotąd uczynił, nie można było spodziewać się nawet, że nie zechce dopełnić uczynionych dawniej ślubów, a czy te śluby nowem z jego strony nie będą poświęceniem? Wszystkie te względy trwały spokojność Maryi, ze drżeniem wspomniła na chwilę przybycia Ruszcycyca, bo widziała w nim tego sędziego, przed którym jako winna ma stanąć, aby upokorzeniem własnem zasłużoną odebrać karę.

Wkrótce nadeszła ta tak stanowcza a przykra dla Maryi chwila. Ruszcyc przybył w kilka niedziel po jej powrocie, z całą okazałością nowożeńca i z ową otwartą wesołością na twarzy, która wszystkich uszczęśliwiała i samej Maryi dodała niejakiej odwagi. Dobrze to było póty, póki tylko o rzeczach potocznych rozprawiano, lecz gdy nazajutrz po swoim przybyciu Ruszcyc zaprosił Podkomorstwo do osobnego pokoju, gdy Marya sama pozostawszy czas niejaki drżąca cała i domysły nad powodem do tego oddalenia się czyniła, gdy nakoniec ujrzała wszystkich wracających z ubocznego pokoju; zbłądła mocno i tak się zmięszała, iż nawet nie zdołała dostrzedz wyrazu radości, który na twarzach Podkomorstwa i Ruszcycyca jaśniał.

On zaś zbliżył się uprzejmie do Maryi, wziął

ją za rękę i obracając się do Podkomorstwa rzekł:

— Jaśnie Wielmożne mnie wielce Mościwe Państwo! Wy którzy zastępujecie miejsce odumarłych rodziców J Panny Modrzejowskiej, mnie już od lat tylu narzeczonej, raczcie wybaczyć mi, jeżeli sam, bez użycia żadnego pośrednika, śmiem Was upraszać o dozwolenie, aby zamierzone od dawnego czasu i tylekroć z mojej winy odwlekane związki małżeńskie tandem nastąpić mogły. A ciebie Pani! — dodał obracając się do Maryi — upraszam, abyś z równie życzliwem jak zawsze ku mnie sercem, raczyła przyczynić się do prośby mojej, i spełnić najgorętsze życzenia, które we mnie wysokie przymioty twej duszy, wola twego ojca i własne twoje przyzwolenie wzbudziły.

Przez cały czas tej przemowy miała Marya oczy spuszczone na ziemię, żywy rumieniec pokrywał jej lica, największe pomieszenie malowało się na twarzy, milczała chwilę chcąc nabrać odwagi; nakoniec usunąwszy lekko rękę wprzód Ruszcycowi podaną, zbliżyła się nieco ku ciotce, jakby jej pomocy błagała i rzekła:

— Próżnobył usiłowała ukryć pomieszenie moje i walkę uczuć, które sercem mojem miotają; wszystkim wam aż nadto dobrze wiadoma ich przyczyna. Wy czytacie w mojem sercu i wiecie jaką jest goryczą przejętą, jakie w niem wyrzuty sumienia czuję. Ach miejcie litość nademną! nie powiększajcie mego upokorzenia przez zbyteczną względność i przez te dowody pobrażającej dobroci, na które nie zasłużyłam.

Tu przerwało rozrzewnienie na chwilę mowę Maryi; Ruszcyc był mocno wzruszony i nie zdołał natychmiast przemówić, lecz widać było, iż chciał ją uspokoić. Ona zaś przyszedłszy wkrótce do siebie, rzekła dalej:

— Czcigodny mężu, Wy któregom dostatecznie cenić nie umiała, któregom postępkami memi obraziła, nie zawstydzajcie mnie więcej dobrocią i szlachetnością waszą. Poznajcie dopiero, jak wielki nas przedział rozdziela, i że nie powinnam przyjąć poświęcenia, jakie czynicie dla przyjaźni, która was z ojcem moim do zgonnie łączyła, chcąc spełnić dane mu przyrzeczenia i zawrzeć śluby małżeńskie z tą, która się poważyła lekceważyć śluby dawniej uczynione, i temu poświęcić wiarołomne uczucie, na którego oka wznieść nie była powinna. Pozwólcie, Panie, ażebym poczytała krok przez

Was uczyniony za dopełnienie danego zgasłemu ojcu memu słowa, i abym was uwolniła od wszelkich względem mnie obowiązków, bo czuję iż Was godną nie jestem.

— Pani — zawołał Ruszczyk, zbliżając się do Maryi i biorąc ją za rękę — jam Ciebie uznał godną korony, a ty się teraz prostego szlachcica godną być nie sądzisz!

— Nie łudźcie mnie Panie dłużej temi pochlebniemi wyrazy — rzekła spokojnie Marya — są one przykrym dla mnie wyrzutem; a jeżeli chcecie mi dać dowód waszego pobłażania, dajcie mi słowo, iż niechęci ku mnie mieć nie będziecie i że mi waszej nie odmówicie przyjaźni.

— Com raz przyrzekł, tego dochowam, — rzekł Ruszczyk z mocą — ten pierścień zaręczyn przez nieodżałowanego podskarbiego na palec mój włożony, jest świadkiem ślubów moich i wierności ich dochowania. Jeden względem tylko mógł mnie odwieść od niedopełnienia tych przyrzeczeń; chciałem cię Pani widzieć na tronie, i jednemu tylko królewiczowi byłbym ustąpił twojej ręki. Długom się mamił mniemaniem, że on ciebie należycie cenić umie; jeszcze gdym za twojem wstawieniem opuszczał więzienie moje, postanowiłem pospieszyć za tobą Pani, aby cię nakłonić do powrotu, bom sądził, że chwilowe niełaski królowej ustaną i że spełnią się wyższe nadzieje, byleby książę stałym był w przy-

wiązaniu. Lecz gdym miał opuszczać stolicę, doszła mi wiadomość o nastąpić mających zaręczynach królewicza z księżną wdową brandeburską, jakoż przy mnie jeszcze w tym celu do Berlina wyjechał.

Na te słowa spuściła oczy Marya, i gorzki uśmiech osiadł na twarzy, a Ruszczyk rzekł dalej:

— Odkąd zaś znikła dla ciebie Pani nadzieja świetniejszego losu, racz przyjąć spokojne szczęście, które ci w mojem cichem ustroniu ofiarować mogę. Nie przyniosę wielkiego imienia ani bogactw znamienitych w zamian za wiano cnót, wdzięków i dostatków, które z twojej ręki mam otrzymać; lecz jeżeli poczciwe imię, któremu ja okupem krwi własnej niejaką świętność nadałem, jeżeli niezłomna wierność tej, którą za dozgonną towarzyszkę życia niebo mi przeznaczyło, i szczere a stałe przywiązanie do statecznemi małżonka mogą być przymiotami; składam je wszystkie u nóg twoich Pani i błagam, abyś tej aczkolwiek lichej nie odrzucała ofiary.

Milczała Marya, lecz wzrok słodczy pełen zwróciła ku Ruszczycowi, i nieśmiało podając mu rękę stwierdziła własnem przyzwoleniem ten związek, który przyjaźń jej ojca skojarzyła.

(Dokończenie nastąpi).





# KAZIMIERZ I MAGDOSIA.

POWIEŚĆ

Z DZIEJÓW OJCZYSTYCH SIĘDMNASTEGO STULECIA

— PRZEZ —

MIECZYŚLAWA Z POZNANIA.

## I. W tatarskiej niewoli.

Było to roku 1650, a zatem przed dwustu laty, za panowania Jana Kazimierza, gdy Tatarzy wpadli do Polski i zaczęli po swojemu gospodarzyć. Pałac wsie i miasta, niszcząc żyzne łąny, gnali w niewolę na odludne swe stepy zabranych mieszkańców. Szeroka łąna pożarów rozpostarła się nad krajem, a płacz i narzekanie nieszczęśliwych Podolan odbiły się o mury Warszawy, stolicy Rzeczypospolitej Polskiej. Usłyszał jęk swych poddanych król Jan Kazimierz, kazał hetmanom co rychlej zebrać wojska i wyruszyć przeciw najezdnikom. Trzeba wam jednak wiedzieć, że w wolnej Polsce, jak niegdyś wszędzie, nie było wojska stałego. W potrzebie dopiero, gdy nieprzyjaciel wpadł do kraju, zwoływał król szlachtę do obrony ojczyzny. Każdy szlachcic przypasywał wtedy pałasz do boku, żegnał się z żoną, dziećmi i domownikami, siadał na koń i spieszył bronić zagrożonej ojczyzny. Wieśniacy tymczasem siedzieli spokojnie i bezpiecznie w domu, bo za nich walczył dziedzic, ich wolności bronił krwią własną. Sam się nadstawiał za żonę, dzieci i wieśniaków, których wcale nie zmuszano do służenia we wojsku. Który z nich chciał, poszedł sam na wojenkę, i jeżeli się mężnie bil za wolność ojczyzny, zostawał szlachcicem.

Zanim tedy panowie się zebrali i wyruszyli przeciw Tatarom, ci już z bogatym łupem i mnóstwem niewolników wracali do Krymu do swoich siedlisk. Na samem pograniczu dognali

ich jednak książę Jeremi Wiszniowiecki ze swoim nadwornem wojskiem. Dawniejsi bowiem bogaci panowie polscy, mieli na swoich dworach nieraz po kilka tysięcy wojska, które własnym utrzymywali kosztem. Z wojskiem takim, w którym tylko uboższa szlachta służyła bo wieśniacy, jak to już powiedziałem, wojskowo nie służywali, oswobodził wielu wtedy nieszczęśliwych dzielny książę Wiszniowiecki z tatarskiej niewoli; lecz z pewną częścią uszli Tatarzy do Krymu, gdzie zwykle po każdej wyprawie sprzedawano zabranych w niewolę, jak bydłęta, Turkom.

W kilka lat znowu wpadli Tatarzy, i wielu jeńców uwięzili ze sobą; między zabranyymi w niewolę był dwunastoletni chłopczyk nazwiskiem Kazimierz Trentul, jedyne dziecko zamożnego obywatela z części Polski, co się zowie Białą-Rusią. W czasie napadu zostały nie tylko porośłe bujną pszenicą łąny stratowane od kopyt tatarskich koni, dom mieszkalny i wszelkie zabudowania gospodarcze spalone, ale i sam dziedzic, ojciec Kazimierza, został zamordowanym. — Pan Trentul bowiem skoro posłyszał o zbliżaniu Tatarów, zebrał swych przyjaciół, znajomych, domowników i okolicznych wieśniaków, jak mógł na prędcę uzbroił i stawiał mężny opór najezdnikom. Ostremi kosami ścinałi wieśniacy głowy pogańskich Tatarów, aż wreszcie, nie mogąc się oprzeć prze-magającej sile, ulegli. Srodzy Tatarzy prawie wszystkich w pień wysiekli, nie zważając czy to mężczyzna, czy kobieta, czy starzec, czy dziecię. Kilka tylko osób

zachowali przy życiu, między temi żonę dziedzica, jej syna Kazimierza i kilku włościan. Tych wszystkich powiązali powrozami, a ostrym biczem raniąc obnażone plecy, gnali do Krymu w niewolę.

Matka Kazimierza strapiona śmiercią męża, nieszczęściem kraju i przyszłym okropnym losem jedynaka, smagana od dzikich Tatarów, nie wytrzymała pochodu, mianowicie gdy Tatarzy uciekając przed ścigającym ich wojskiem polskim, przywiązali ją powrozem i przytroczyli do galopującego konia. Biedna kobieta nie zdążyła za bystrym rumakiem, i zalana potem, pokaleczona, okrwawiona padła na ziemię. Kilkadziesiąt kroków włókł ją koń tatarski po kamieniami i gruzem zasłanej drodze — w końcu spostrzegł to Tatar. Krzyknął więc, by z ziemi wstała, lecz na pół martwa matka Kazimierza, nie słyszała jego wrzasku. Sądził dziki Tatar że nie żyje, klnąc po tatarsku, przeciął w gniewie postronek, aby ulżyć koniowi.

Było to właśnie na pograniczu ziemi ruskiej. Kazimierz widział okropne pokaleczenie matki, sądził że już kona, chciał biedz jej na ratunek, lecz przywiązany do konia tatarskiego, musiał biedz dalej — nie słyszał jej błogosławieństwa. Rzewnemi zalewając się łzami gnany batogiem Tatara, biegł dalej, lecz wkrótce i jego opuściły siły; prawie bez ducha padł na ziemię. Spostrzegł to dziki Tatar, a gniewny, że bez zdobyczy ma wrócić do Krymu, zeskończył z galopującego konia, podniósł biednego chłopczynę ze ziemi, wsadził przed siebie na konia, okładając z bezrozumnej dzikości batogiem. Z boleści otworzył Kazimierz oczy, a głośno wołając błagał o litość. Tatarzyn ucieszył się mocno, widząc że Kazimierz żyje jeszcze, a obawiając się, by na nowo nie zasłał, albo w drodze nie umarł, wrzucił go na wóz, na którym jechały chore kobiety.

Jakże się zdziwił i ucieszył nasz mały Kazimierz, gdy między obcemi kobietami ujrzał swoją piastunkę Małgorzatę i jej córeczkę Magdosię, z którą tyle razy się bawił w ogrodzie. Małgorzata poznała natychmiast swego kochanego panicza, rozplakała się nad nim serdecznie, a przy najbliższym źródle obmyła z krwi, kawałkiem płótna otarła okrwawione nogi. Jak umiała, starała się pocieszyć nieutulonego w żalu po stracie ojca i matki chłopczynę, mówiąc:

— Przestań już płakać mój złoty paniczu,

pamiętaj, że tatko zginął w obronie wiary i ojczyzny, że Bóg go nagrodzi królestwem niebieskim. Pan Jezus jest teraz twoim ojcem, On się opiekuje biednymi sierotami — Pan Jezus panicza z niewoli jeszcze wyprowadzi, jeszcze panicz wróci do mamy, bo mama pewnie tylko omdlała i niezawodnie żyje.

W podobny sposób pocieszała pocziwa wieśniaczka swego kochanego panicza, lubo sama potrzebowała pociechy. Straciła bowiem prócz wolności, i najlepszego męża. Nie wiedziała przynajmniej, gdzie się podział jej mąż, Wojciech Łozina; widziała go po raz ostatni, jak jeszcze w początku bitwy swoją kosą wywijał w gromadzie Tatarów.

Wśród uciążliwej podróży po zniszczonym kraju i rozległym stepie, minęło dni kilka, aż wreszcie przybyli do tatarskiego miasta Bakczyseraju. W całym tem mieście, nie było domów murowanych, wszystkie były sklecone z trzciny lub drzewa, i niczem się nie różniły od stajen. Z brudnych tych domków wychodziły za przybyciem Tatarów, na pół nagie kobiety, kalecy, zgrzybiali starcy, albo maleńkie dzieci. Ludzie zdrowi bowiem szli u Tatarów wszyscy razem na wojnę. Z tej też przyczyny byli Tatarzy tak strasznymi.

Po przybyciu do miasta, zebrali się wszyscy Tatarzy przed dom wielkiego hana, czyli tatarskiego cara. Pospędzali wszystkich jeńców, poznosili zdobycz, i rozpoczęli działy. Okropna to była chwila, bo Tatarzy nie uważali na żadne pokrewieństwo, rozdzielali ojca od syna, matkę od dzieci, męża od żony, przyjaciół, rodzeństwo — jednych wlekli na prawo, drugich na lewo, na nic nie zważając. Płacz, narzekanie i jęki rozdzielonych, nie zmiękczyły serca barbarzyńców. Nawet pożegnać, uścisnąć raz może ostatni najdroższych rodziców nie pozwolili.

Biedna Małgorzata musiała się rozdzielić ze swoim paniczem i z córką małą Magdosią. Zadrgnęło serce niatki, rzuciła się za dzikim Tatarem, który ją pozbawił córki, chciała wyrwać z rąk poganina swoją Magdę, lecz w tej chwili posłyszała krzyk Kazimierza, rzuca się w tę stronę, chwyta go za rękę, ale równocześnie przyskakuje dwóch Tatarów, skrępowawszy ją powrozem, odprowadzili na ubocze. Magdosię i Kazimierza zaś zawleczono przed namiot wielkiego hana.

Powoli zwleczono przed namiot ten kilku-



dziesięciu niewolników i niewolnic. Gdy już wszystkich jeńców i całą zdobycz Tatarzy między siebie rozdzielili, wybrał han z niewolników dla siebie przeznaczonych dwudziestu, i tych odesłał w podarunku, jak gdyby kilka koni, sułtanowi tureckiemu; był nim podówczas Mahomet Czwarty. Niewolnicy przeznaczeni dla sułtana byli wszyscy jeszcze zupełnie młodzi, a po większej części kobiety; dziwnem zaś zrządzeniem był między nimi i nasz Kazimierz i Magdosia, — Matka Magdaleny, poczciwa Małgorzata, dostała się w podziale srogiemu Tatarowi, który nieszczęśliwą kobietę pozbawioną ojczyzny, męża i dzieci, za najmniejszą przyczyną okrutnie katował. W skutek tego rozchorowała się biedna kobieta, lecz wzmocniona słowami religii, troskliwie pielęgnowana od towarzyski niewoli, która przedtem była bogatą dziedziczką, wyzdrowiała.

Kazimierz, Magdalena i inni niewolnicy przeznaczeni dla sułtana tureckiego, jechali tymczasem powoli przez rozległy step do Konstantynopola, stolicy cesarstwa tureckiego. W czasie podróży dosyć łagodnie obchodzili się z nimi Tatarzy, ponieważ chcieli sułtanowi zawieść rumianych, zdrowych niewolników, by za to tem większą odebrać nagrodę. Wieźli ich na wozach osadzonych na niskich kółkach, a obok jechało konno z pięćdziesięciu Tatarów uzbrojonych w krzywe pałasze, długie lance i ciężkie łuki; kilku z nich miało strzelby. Wszyscy bowiem doskonale strzelali z łuków chociaż w największym biegu konia. Byli zaś przyodziani w baranie kozuchy, których, włos był przewrócony na zewnątrz. — Po większej części byli to już ludzie starsi, łagodniej się też obchodzili z nieszczęśliwymi jeńcami, którym pozwolili rozmawiać. Z pozwolenia tego korzystali Kazimierz i Magdosia. Mieli oni niejedno sobie do powiedzenia, zwyczajnie jak dzieci jednego sioła. Chociaż bowiem Kazimierz był synem dziedzica, Magdalena córką biednego komornika, lecz żyjąc w jednej wsi, nieraz się ze sobą bawili. We wsi ojca naszego Kazimierza, dzieci nie uciekały na widok pana, owszem z małym Kazimierzem nieraz się bawiły. Teraz więc w niewoli przypominały sobie te dzieci niewinne zabawy, wioskę rodzinną, postacie rodziców, żarty staroego włodarza, wieczorne śpiewy..... Magdosia przypominała swemu paniczowi, jak je-

go ojciec nieraz dopomagał jej rodzicom i innym wieśniakom; Kazimierz nawzajem mówił:

— Przypominasz sobie Magdosiu pożar zeszłoroczny, gdy płomień dom cały ogarnął i dach już się walił, a twój ojciec wskoczył po mnie w płomienie?

— O pamiętam paniczu, — odpowiedziała Magdosia, — i jeszcze dzisiaj stoi mi w oczach wasz ojciec, nasz kochany pan, jak serdecznie ścisnął mego ojca i jak mu za to chciał dać garść złotych dukatów.

— Ale twój ojciec Magdosiu nie przyjął ich, mówiąc, że nie dla grosza, ale z miłości ku memu ojcu to uczynił. O tem nigdy nie zapomnę.

Również o ostatnich przygodach i o dzielnej obronie sioła przez wieśniaków miały dzieci wiele do opowiadania sobie.

Tak rozmawiając pocieszało się wzajemnie tych dwoje dzieci wśród długiej podróży do Konstantynopola. Z nadzieją w sercu, że Bóg im pozwoli wrócić się jeszcze do ojczyzny, wjeżdżali w mury stolicy tureckiego cesarza. Na drugi dzień po przybyciu do miasta, zaprowadzono ich przed tron tureckiego władzcy. Bystre spojrzenie Kazimierza i układna postawa młodziutkiej Magdosi spodobały się sułtanowi bardzo, i z tej przyczyny przeznaczył Kazimierza do własnych usług, a Magdosię podarował jednej ze swych córek, tylko o dwa lata starszej od Magdaleny. Innych jeńców zaś oddał pod dozór nieokrzesanych stróży, którzy się srogo obchodzili z powierzonymi ich pieczy jeńcami. Sam sułtan był dosyć łagodnym i pobłażliwym. Nieraz gdy był w dobrym humorze rozmawiał z niewolnikami, wypytywał ich o dawne życie. Czasami kazał Kazimierzowi śpiewać polskie albo ruskie piosnki, których się Kazimierz jeszcze w domu rodziców nauczył.

---

## II. U Sułtana.

---

Głównem zatrudnieniem Kazimierza było nakładać sułtanowi fajkę, chodzić za sułtanem po ogrodzie, trzymać zasłonę od słońca, i tym podobne czynić posługi. Na przechadzce roz-

mawiał sultan czasami z Kazimierzem, starając się go nakłonić do przejścia z religii chrześcijańskiej na turecką, czyli muzułmańską. Mimo wszelkich pogroźek, a nawet katuszy, opierał się Kazimierz przez pewien czas żądaniu sultana. W końcu jednak zapomniał już o swojej religii, a razem z sultanem wzywał Allacha i Mahometa proroka.

Wtedy to zesłał mu Najwyższy pocieszyciela, który go sprowadził na drogę dobrą. Tym pocieszycielem był ogrodnik sultana. — Dawniej był on księdzem katolickim, lecz przypadkiem dostał się do niewoli tureckiej, a że jako ksiądz zakonny w zaciszu klasztorne trudnił się ogrodnictwem, oddał mu sultan jeden ze swoich ogrodów pod zarząd. Ten to ksiądz dowiedział się przypadkiem, że Kazimierz jest Polakiem i chrześcianinem, i że teraz w niewoli bez przyjaciela, rodziców, którzyby mu przy-

pominali błogosławieństwo religii chrześcijańskiej, chce zostać muzułmaninem. Jako sługa Boży postanowił przy pierwszej sposobności przemówić do Kazimierza. Jakoż w kilka dni spotkał Kazimierza w odległej części ogrodu, i nie widząc obok nikogo, zbliżył się i przemówił doń słowy:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Zdziwił się Kazimierz bardzo, usłyszawszy mowę ojczystą, przeląkł się prawie, i dopiero w kilka chwil zdołał odpowiedzieć:

— Na wieki wieków, Amen.

— O pamiętaj moje dziecko, — odpowiedział ów ksiądz, — że Chrystusa zawsze i wszędzie powinieneś chwalić — pamiętaj byś wiary ojców nigdy nie porzucił.

(Dalszy ciąg nastąpi).



## GAWĘDZIARZ.

### CYGANKA.

(Ciąg dalszy.)

— Juścić to jest zawsze człowiek stworzenie Bożkie — mówił sam do siebie Wojciech, — zostawić ją tu na takim zimnie, to nie wytrzyma, takiego mrozu to pewno i cyganka nie wytrzyma, a przecież to człek chrześcianin, nie powinien zostawić w takim nieszczęściu swego bliźniego — bądź co bądź, zabiorę ją do wsi, a dyć tam i u mnie chociaż wieje na wszystkie strony, jest cokolwiek ciszej jak tutaj, a znajdzie się kąć jaki i trochę barłogu, a chociaż to

tam mówią, że oni są poganie, aleć to proboszcz niedawno mówił, że nie powinniśmy patrzeć komu czynimy dobrze, tylko czynić, a Bóg ci to wszystko widzi i za grzech nam tego nie policzy.

Zrobiwszy takie postanowienie, Goryczka ułamał czempredziej kilka suchych gałęzi, aby mu na parę dni wystarczyły i powracając do grzejącej się cyganki rzekł:

— Bóg z tobą moja kobieto, na mróz się jeszcze bardziej zanosi, gdybym cię tu zostawił, to chociaż jesteś cyganka, toć przecież nie z żelaza, i zmarzłabyś jak kurczę ze swoim dzie-



ciakiem; podnieś się więc jeżeli możesz, stoją tu niedaleko moje sanki i jedź ze mną pomiędzy ludzi, przecież ci tam może prędzej dopomożemy, jak tu drapieżne zwierzęta.

Cygance łyzy stanęły w oczach, na tę mowę zacnego chłopca, chciała się podnieść, ale nie miała na to dość siły.

— Poczekajno moja kobieto — mówił Wojciech pas odpasując. Tu w lesie to jakoś ciszej, ale tam na polu wiatr do kości przejmuje, ja mam dwie sukmany na sobie, a zresztą będę szedł przy bydłociu, to się zagrzeję, ty się zaś okryj ze swoim niemowlęciem, bo chociaż to cyganie, aleć zawsze to jest stworzenie Boże — i to mówiąc, podał biednej matce zdjętą już z siebie sukmanę i pomógł wstać, doprowadził ją do sanek, zrobiwszy jakie mógł na przódzie siedzenie, poobtulał nieszczęśliwą i wziąwszy bicz w rękę poszedł piechotą, głodny około swojej chudoby, często pod górkę albo w zaspach śniegu sam pchając sanki.

Ludzie wychodzili już na pańskie, kiedy Wojciech do wsi dojeżdżał, jaki taki zobaczywszy go powracającego z takim kramem, przystanął i zaczął się przypatrywać, tu i owdzie odezwały się śmiechy i nareszcie głośno zaczęli szydzić z biednego chłopca, a ten tylko nacisnąwszy czapkę na uszy, poganiał jak mógł szkapinę, ażeby prędzej stanąć w chałupie.

Kaśka właśnie wyjrzała oknem, a zobaczywszy że się coś rusza na saniach, wybiegła czem prędzej przed sień, a ujrawszy skuloną cygankę, stanęła jak wryta na miejscu, wzrokiem tylko zapytując się swojego chłopca. Ten w kilku słowach opowiedział jej całe zdarzenie. Kaśka wysłuchała tego cierpliwie, a kiedy do końca, rzekła doń pomagając wstać cygance.

— Dobrześ zrobił mój przyjacielu, żeś te chudziaczkę poratował, i zabrałeś z sobą tutaj; Bóg by nas skarał, żebyśmy opuścili w takim zdarzeniu bliźniego.

(Dalszy ciąg nastąpi).



# O J C I E C K A P U C Y N

— CZYLI —

## ZWYCIĘZTWO WIARY I MIŁOŚCI.

### ROZDZIAŁ PIERWSZY.

W Szkocyi, kraju angielskim, nie daleko miasta Aberdeen, co się wymawia Eberdyn, mieszkała w przepysznym zamku Baronowa Torey, posiadająca ogromny majątek. Mogła

więc używać wszystkich przyjemności, jakie tylko bogactwo i wysokie znaczenie dać są w stanie. Każdy sądził, iż się Pani Torey na szczycie ziemskiej znajduje szczęśliwości, tak, że już sobie nic więcej życzyć nie może. Jednakowoż nie była szczęśliwą. Spokój ją bowiem duszy

opuścił. W bezsenności przepędzała nocy całe a jej dni upływały wolno, jako pełne smutku wielkiego. Pomimo największych usiłowań w pokrywaniu tajemnej swej troski nie zdołała ukryć wewnętrznego niezadowolenia i kłopotu, co się malowały na jej twarzy, dawniej dumę wyrażającej, a teraz tak bardzo zmienionej. Nawet pochlebne uściski i miłe słowa czułych a dobrych jej dzieci nie były w stanie wymódcz na niej uśmiechu, ani też wesołego spojrzenia. Pozostała przy swej ponurości. Wszystkim się jej charakter zupełnie zmienionym zdawał. Jej miłe względem każdego postępowanie, jej dawniejsze zniżanie się do swych domowników i poddanych, czem, szczególnie, że było połączone z przyzwoitą powagą, wszystkich tak wielce dla siebie jednała: te piękne przymioty, zdawało się, porzuciła na zawsze.

Oprócz jej syna Edwarda nikt powodu smutku jej nie znał. Jemu jedynie odkryła tajemnicę serca swego. Jemu jedynie opowiedziała, co jej tak srodze donagła. Zasługiwał on też na taką ufność, ponieważ łączył z uczciwością i czułem sercem mężki statek i obrotność przezorną, co mu powagę daleko późniejszego wieku nadawało. Ztąd-to wybrała go Baronowa na wykonawcę poruczenia, które szczególnej wymagało ostrożności i niepospolitego daru, aby, zostawszy pomyślnym uwieńczone skutkiem, mogło osłodzić resztę dni upływającego jej życia. Przy udzielaniu potrzebnych do tego przestróg pokazało się, o ile ją ta sprawa obchodzi. Łzy bowiem obfite puściły się jej z oczu. A podając Edwardowi list, własną ręką napisany, rzekła:

— Jedź więc, mój synu, z Panem Bogiem! Powierzam twej roztropności rzecz w całym moim życiu najważniejszą. Doczesna i wieczna moja szczęśliwość zależy od skutku posłannictwa twojego. Spuszczam się zupełnie na twoją gorliwość i twoje ku mnie przywiązanie... Tylko nadzieja, — dodała Baronowa z głębokim westchnieniem, — tylko pocieszająca nadzieja, że nie sam powrócisz, ocala mię jeszcze.

Z wielkiem rozczuleniem uścisnął Edward matkę i odrzekł:

— Bądź pewna kochana matko, iż wszelkiego dołożę starania do przywrócenia ci dawnej spokojności. Jakżeby był szczęśliwy, gdyby mi się udało życzenie najlepszej mej matki

urzeczywistnić i tak rzadką jej miłość ku dzieciom swoim przynajmniej cokolwiek wynagrodzić.

Z powodu odebranego poruczenia udał się Edward do ziemi włoskiej. W czasie całej podróży morzem były jego myśli jedynie przedmiotem swego posłannictwa zajęte. Nic ich nie zdołało od tego oderwać, lubo podczas swej jazdy nie mało spotykał osobliwości. Jeżeli sobie nie pochlebiał nadzieją, jak mu się to uda uścić życzenia Baronowej i tak jej zgotować niewymowne rozkoszy, to sobie przypomniawszy chwile, w bliskości matki przepędzone.

W przystani miasta Ankona wysiadł z okrętu i pojechał bitym gościńcem do Urbino, gdzie właśnie ksiązę panował, głośny z cnót swoich i miłości ku naukom a godny być panem większego daleko kraju.

Zaraz po przybyciu do miasta Urbino, pospieszył Baron Torey do tamtejszego klasztoru Ojców Kapucynów i prosił o widzenie się z księdzem Archaniołem. Nie długo bawił w izbie gościnnej, aż tu wszedł żądany zakonnik i ukłonił się cudzoziemcowi głęboko i pokornie.

Ksiądz Archaniół mógł mieć lat blisko trzydzieści. Rysy twarzy jego można było nazwać pięknymi, pomimo, iż już cokolwiek ucierpiał. Widoczną było rzeczą, że bladeść jego pochodziła z wielkich umartwień ciała. Jednakowoż nie odstręczało to nikogo. Owszem każdy się czuł do Kapucyna pociągany, szczególnie, iż miał pewny wyraz dobroci i zadowolenia w obliczu.

Ukłoniwszy się Edward nawzajem, te rzekł słowa:

— Czcigodny Ojcze! Mam ja tu list do Hrabiego Lesley, którym podobno sami jesteście.

Temi słowy oddał go zakonnikowi. Ten gdy napis zobaczył, okazał pewne wzruszenie. Zmiana rysów jego nie uszła uwagi Edwarda.

— Łaskawy Panie! — odpowiedział na to Archaniół — Kto się tu schronił do tych świętych murów, ten się rzekł wszystkich tytułów i próżności światowych. Nie ma tu żadnych Hrabiów. Niegdyś wprawdzie zaszczycono i mnie szumnym tytułem, lecz dawno już zamieniłem go na święte imię Archaniola.

— Rozłamcie przynajmniej tę pieczęć, — rzekł na to Edward.



— Nie wolno mi tego, — odrzekł zakonnik. Muszę go wprzód Przeorowi oddać. Tak przepisuje nam nasza reguła. Opowiem mu o Was, a będziecie przyjętym z należytą grzesznością.

Tu chciał się oddalić. Ale Edward zatrzymał go, mówiąc:

— Proszę, posłuchajcie mię jeszcze! Przybywam ja ze Szkocyi. Dowiedziawszy się Hrabina Lesley, z którą mam bardzo ścisłe stosunki przyjaźni, że do Włoch odjeżdżam, prosiła mię o doręczenie listu jej synowi. Uściwszy się z tak zaszczytnego poruczenia, mam sobie jeszcze za obowiązek odwiedzić Was przed wyjazdem i prosić o łaskawą na ten list odpowiedź.

— Ach, proszę, Łaskawy Panie! — zawołał Archaniół z pewną żywością. — Proszę nie odchodzić! Proszę się tu chwilę zatrzymać. Doniosę ja o Was Przeorowi. A smuciłby się, gdyby jaki podróżny te mury opuścił, nie doznawszy szczerości gościnnego przyjęcia. Zatrzymajcie się! Wkrótce wyjdzie tu do Was sam Przewielebny Ojciec nasz Przeor.

To rzekłszy zakonnik, wyszedł z pokoju. Lecz niezadługo stanął wraz z Przeorem przed Edwardem. Pozdrowiwszy mile młodego Szkota, rzekł dalej przełożony klasztoru z tą słodką szczerotą, jaką często w zakonach natrafiamy:

— Wielmożny Panie! W tem skromnem zaciszu panuje tylko ubóstwo. Jednakowoż wszystkim dołożemy starań na godne przyjęcie takiego gościa. Do szczupłej tylko celi mogę Was zaprosić i służyć Wam strawą zakonną. Lecz nie wzgardźcie nami! Abraham na lepsze ucztowanie gości swoich się nie silił.

To uprzejme zaproszenie odpowiadało zupełnie zamiarom młodego szlachcica, gdyż mu milej było w klasztorze pozostać, niż sobie w mieście mieszkanie wynająć, a to z powodu, że się w klasztorze rozgościwszy, większą mógł mieć sposobność do obcowania z księdzem Archaniołem. Wyraziwszy wdzięczność swoją dla Ojca Przeora, dodał, że mu ta gościnność tem przyjemniejsza, iż będzie od zakonników, w czasie kilkodniowego swego pobytu w Urbino, zasięgać rady jak najszczerzej.

Wśród tej rozmowy zachowywał ksiądz Archaniół głębokie milczenie, spoglądając tylko często na młodego przychodnia, który w swych szlachetnych i łagodnych rysach szczególny miał

powab i przeto każdego ufnością napelniał. Ze spuszczonei ku ziemi oczyma i z prawdziwą serdecznością przemówił wreszcie:

— O Panie! Jakże dziękuję Bogu, że matka moja jeszcze żyje. Nie odrzucił-ci błagań moich. Za jego Bożką pomocą mogę się jeszcze spodziewać zbawienia najdroższej mi na świecie osoby.

— Tak, tak, — dodał Przeor. — Co dzień się modlimy o wieczną szczęśliwość dla Hrabiny Lesley.

Tu się z sobą rozstali. Zostawszy Edward sam na sam, usiadł do skromnego zasiłku, który mu przyniesiono. A pożywiwszy się, poszedł do szczupłej, dla siebie przeznaczonej komnaty.

## ROZDZIAŁ DRUGI.

Tymczasem oddała się Baronowa Torey zupełnie rozmyślaniu o skutku podróży syna swojego. Była ona wdową już po raz drugi. Pierwszy jej mąż nazywał się Hrabia Lesley i pochodził z najszlachetniejszej szlachty szkockiej. A że Pani Torey do sekty purytańskiej należała, przeto zostały i dzieci jej w tychże błędach wychowane. Tylko najstarszy jej syn a jedyny potomek po pierwszym mężu przyjął wiarę katolicką, i to jeszcze, będąc zupełnie młodym, kiedy we Francyi pobierał nauki. Na wiadomość o nawróceniu jego do prawdziwego kościoła tak się rozgniewała, iż miotając na niego ciężkie przekleństwa, wydziedziczyć go postanowiła. Ztąd to przywołując wysłanego z nim wychowawcę do powrotu, dodała:

— Niechże więc i w otchłań wleci, ten papieżnik, który się ważył okryć mój dom hańbą i sromotą!

Lecz wkrótce swój błąd poznała. Pomimo właściwych jej sekcie uprzedzeń, pomimo upartości w zostawaniu przy błędzie, uczuła częste wyrzuty sumienia, które przypominając jej cnotliwego syna, serce jej macierzyńskie zakrwa-

wiały. Pędząc tak dni pełne zgryzoty, zobowiązywała osoby, wyjeżdżające do krajów łądu stałego, aby się potajemnie o powodzeniu Grzegorza Lesley wywiadywały. Po długich, daremnych dopytywaniach powzięła wreszcie okropną dla siebie wiadomość, iż młody Hrabia Grzegorz, jedyny dziedzic imienia Lesley, kapucynem został.

Odtąd jako heretyczka, wylewała się często w straszliwe złorzeczenia. Gniew jej straszliwy żadnych nie znał granic.

— Jakaż sromota! — zawołała w chwili pierwszego uniesienia. — Jakaż to plama na rodzie tak znakomitym! Każdy rok powiększał blask tego nazwiska. Wieki je uświetniały. A teraz on przyćmił, skaził je jednym szaleństwem, on, ten niewolnik Papieża i niegodny wyrodek swych przodków! Nie dosyć w jednej hańbie się znurzać; nie dość zmartwić mię porzuceniem mej wiary; — trzeba mu było jeszcze zostać podłym mnichem — na widoczną wzgardę świata. I któż się tam w te mury ucieka? Otóż tylko motłoch, otoż tylko wyrzut ludzkiego społeczeństwa. — Nawet czyny, nawet głośna sława ojca jego nie wstrzymała go od występuku! A wspomnienie na moją troskliwość, na moją pieczołowitość około niego... czemuż to go nie wstrzymało? Ha, ten nędznik niegodziwy! Jakież to upodlenie! I mogęż zcierpieć, aby ta hańba dom mój plamiła? Nie mogę! Sama pospieszę i wyrwę go z upodlenia, w które się sam wtrącił. Zobaczymy, czy się oprze rozpaczy matki swojej! A prędej sobie w jego oczach krew z żył wypuszczę, niżbym go miała zostawić w stanie mi tak znienawidzonym. Na samą myśl o nim krew mi się w sercu ścina!

Po tak gwałtownym wybuchu rozjadowniczej wściekłości Baronowa zemdląca zupełnie. Zamknawszy się na klucz w swych pokojach, z nikim nie chciała mówić. Grzegórz jej myśli ciągle zaprzętał. Zdawało jej się nawet widzieć go przed sobą w postaci zakonnika. W smutku pogrążony, bładny i wychudły, w habit z najgrubszego sukna ubrany, bosy, z długą po pas brodą i z postronkiem około bioder: w takim to obrazie wystawiała sobie syna swego. A jakież dreszcze jej członki przechodziły na myśl, iż zażywa pokarmu, którymby jej sługa najpodlejszy gardził, i że legać musi na lichym barłogu, znosząc potwarz i urąganie. Wtedy

to zaczynało jej serce bić jeszcze gwałtowniej. Wtedy się to twarz ze złości aż wykrzywiała a z ust ściśnionych wydzierały się wyrazy największej niechęci i najzaciętsze złorzeczenia. Każdyby był sądził, iż ją szaleństwo opanowało.

Czasem widziała w duchu syna uskarżającego się na jej surowość i niesprawiedliwość. Wtedy sobie samej wyrzuty czyniła, poczytując się za przyczynę jego nieszczęścia. O któż wielkość jej boleści, któż srogość oskarżającego ją sumienia wyrazi! Dla wyrwania się z takiej okropności postanowiła się udać o pomoc do najstarszego po drugim mężu syna.

— Wiadomo mi, — rzekła z łzą wem okiem, — jak się gorliwie starasz być godnym stanu Twojego. Zawsze sobie postępujesz, jak na znakomitego szlachcica przystoi. Zlituj się więc nad nieszczęśliwą matką Twoją! Wiesz dobrze o poniżeniu brata Twojego. Tu hańba na mnie i na Tobie ciąży. Nie za długo a nie będziemy mogli spojrzeć bez zapłonienia się... Pojutrze, mój drogi Edwardzie, musisz się puścić w drogę. Do Włoch pojedziesz i użyjesz wszystkich środków do przywrócenia mi obłąkanego syna. Powiedz mu, iż całe dziedzictwo po ojcu go czeka, że najwyższe dostojęstwa na jego usługi. Powiedz mu nawet, iż sama jego matka żałuje, że sobie z nim tak srogo postąpiła. Wystaw mu jak najżywiej tęskność moją za nim, strapienie moje, boleść serca mojego. Powiedz mu, iż smutek ciężki dni moje skraca. Zaręcz swoim honorem, że mu porzucenie mej wiary przebaczam i że tylko pragnę, aby wystąpił z upodlającego go stanu. Wreszcie mu zagróż, iż on będzie przyczyną przedwczesnej śmierci mojej, jeżeli dłużej w swem obłąkaniu pozostanie. A kończąc dodaj z przyciskiem:

— Bracie, i Ty staniesz przed sądem sprawiedliwego Boga i oddasz rachunek za matkę swoją!

W takim to zamiarze, jak to już wiemy, przybył Edward do miasta Urbino. List matki do Archaniola takiej był treści:

*Kochany Synu!*

Oddawca listu tego doniesie Ci ustnie obszerniej o mnie. Ja z mej strony oświadczam tu piśmiennie, że Ci żadnych robić nie będę wyrzutów. Wszystkich cierpień przez Ciebie mi zgotowanych chętnie zapomnę, bylebyś tylko



usłuchał rady Barona Torey. O bądź mu powolny, ponieważ w mojem do Ciebie imieniu przemawiać będzie. Jeszcze raz proszę, bądź mu powolny, inaczej wkrótce zamknę oczy na wieki

Twoja kochająca Cię matka

*Hrabini Lesley.*

Uważała Baronowa za rzecz potrzebną, nie wspomnieć ani słowa, iż Edward jest bratem Grzegorza a synem jej po drugim mężu. Wtedy miał się o tem dowiedzieć Archaniół, gdy będzie do tego najstósowniejsza pora. I drugi jeszcze list dała Baronowa Edwardowi. Miał go bratu swemu oddać dopiero po zwierzeniu się przed nim z tak blizkiem swoim pokrewieństwem. —

Edward posiadał tak wielki dar wymowy, iż mu się oprzeć trudno było. To też właśnie podsycalo w Baronowej nadzieję, rokującą jej powrót syna, a chociażby miał serce twardsze, niż z kamienia. Rozmyślała więc nawet o wyrobieniu dla Grzegorza urzędu, odpowiadającego znakomitości domu Hrabii Lesley. Upatrywała także już wśród najslawniejszych rodzin Szkocyi dla niego jak najgodniejszej małżonki. A pochlebając sobie rychłem jego przyjazdem, przygotowała dlań pokój jak najświetniej urządzony. Lecz, o nicości ludzkich życzeń i marzeń! Słaby oddech wywraca wasze zamki na lodzie i zwiewa was z uroku omamień, jak wietrzyk jesienny zżółkłe listki, które z zwierzchołka dębu opadły.

## ROZDZIAŁ TRZECI.

Jakaż sprzeczna odmiana dla młodego Barona z drugiego małżeństwa! W Szkocyi mieszkał w przepysznych pokojach wspaniałego zamku, a tu ujrzał w ubogiej celi kapucyńskiej, w klasztorze żebraków, poświęcających się w służbie Bożej gościnności i wygodzie swych bliźnich braci. Co tylko widział i słyszał, napełniało go

zadziwieniem, tak ledwie był w stanie pojąć dokładnie, co się w jego sercu działo.

Rozważając uprzejmie i miłe przyjęcie zakonników, nie mógł się powściągnąć od przyznawania swej matce niesłuszności, że dobrodusznych kapucynów potępiała. Serdeczność, z jaką go każdy tam uprzedzał, wzruszyła go głęboko. Już zaczął powątpiewać o prawdziwości nauk, przez matkę w siebie wpojonych.

W nocy krzyżowały mu się w głowie różne myśli. Niejaka lęklivość opanowała umysł jego. Przebudzał się więc po kilka razy. Przypomnił sobie niezmierny smutek swej matki i oczekiwał dnia z prawdziwą niespokojnością. Jakże powrócić do Eberdyn, nie przywiózłszy z sobą brata swego? Jakże mógł patrzeć na ciężkie wyrzekania najukochańszej swej matki? Ale jakimże sposobem odwieść Grzegorza od swego postanowienia? Jakże go spowodować do opuszczenia zacisza klasztornego, w którym się tak bardzo szczęśliwym być zdawał? — Czasem pochlebiał sobie nadzieją, że doniesienie o wielkiem strapieniu matki wywrze wpływ skuteczny na umysł Archanioła. Pochlebiał sobie, że uczucie synowskiej miłości, zostawszy przez niego obudzone, pokona głos reguły klasztornej w Grzegorzcu. Nie mógł także Grzegorz być obojętnym na przybycie brata swego z tak daleka. A przyjechał Edward jedynie dla nakłonienia go do powrotu w objęcia stro-skanej matki. Lecz nie znał młody Baron potęgi wiary prawdziwie Chrystusowej; nie znał siły niepojętej, jaką wywiera święte przekonanie o chwalebności stanu rozważnie z własnej woli wybranego. Nie wiedział o niewymownej rozkoszy, jaką napawa życie Zbawicielowi świata poświęcone; nie wiedział o wewnętrznej szczęśliwości, jaką Pan Bóg serce tych napełnia, którzy przejęci Jego miłością, wszystko lekceważą, co człowiek światowy za coś wielkiego, za blask, za szczęście poczytuje.

A że się znowu chciał Edward widzieć z Archaniołem, dla wybadania skutku, jaki na nim zrobił list matki, oczekiwał więc z niecierpliwością chwili, kiedyby to nastąpić mogło. Lecz i Archaniół, czując w swem sercu pewny pociąg do młodego Barona, życzył sobie pomówić z nim nieco dłużej i wywiedzieć się dokładnie o żądaniu swej matki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

# HISTORIA

## STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

W dniu 26 marca przybył jen. Philipps z 2000 Anglikami i złączył się z Arnoldem, obejmując zarazem naczelne dowództwo. W kwietniu pomógł jeszcze Arnold Philipps'owi niszczyć osady nad rzeką James, poczem wrócił do New Yorku.

Na miejsce jenerała Gates, którego powołał kongres do wytlómaczenia się ze swego postępowania pod Camden, został zamianowany głównym dowodzącym armii południowej jen. Greene. Ten zajął się gorliwie ściganiem i tępieniem Anglików. Słabą swą armię podzielił na dwa korpusy. Z głównym udał się do Cheraw na wschód rzeki Peedee, drugi zaś z jen. Morganem na czele (1000 ludzi) wysłał do zdobycia kraju między Pasolet i Broad rzekami położonego. Cornwallisowi, który właśnie chciał wpaść do północnej Caroliny, nie podobąca się ta taktyka. Wysłał dla tego Tarletona z mocnym oddziałem, który miał znieść korpus Morgana. Przed przeważną siłą uchodzili Amerykanie, lecz pod Cowpens zostali zmuszeni do bitwy. W dniu 17 stycznia 1781 r. uderzyli Anglicy na Amerykanów. Ci zaś byli przygotowanymi i bili się przez dwie godziny tak mężnie i zręcznie, że Anglicy zostali porażeni, utraciwszy 300 ludzi. Amerykanie zabrali 500 jeńców i zdobyli wiele broni, amunicyi i zasobów. Cornwallis dowiedziawszy się o porażce Tarletona pospieszył za Amerykanami, którzy nie czuli się dość silnymi do stawienia mu oporu, lecz nie zdołał ich doścignąć.

Greene pozostawszy kilka dni w Virginii i dostawszy rekrutów, przekroczył znów rzekę Dan i udał się do północnej Caroliny. Pułkownik jego Pyle, pobił w dniu 2 marca 300 lojalistów nad rzeczką Alamanca. Gdy korpus Greene'a liczył już 5000 ludzi, postanowił tenże zaczepić Cornwallis'a. W dniu 15 marca zderzyły się dwie armie pod

Guilford-Court house. Bitwa trwała dwie godziny. Amerykanie zostali wprawdzie pobici, lecz zwycięztwo Anglików kosztowało tyle ofiar, że Charles Cox wyrzekł w parlamencie angielskim: „Jeszcze jedno takie zwycięztwo, a Anglia nie będzie miała armii”. Bataliony Cornwallis'a były tak zdziesiątkowane, iż musiał poprzestać ścigać patryotów. Opuścił następnie zachodnią część Caroliny i udał się ze swą armią nad wybrzeże do Wilmington. Greene zaś udał się do południowej Caroliny.

W Camden znajdował się wtenczas Rawdon, jeden z najcelniejszych poddowódców Cornwallis'a. Greene udał się wprost do tego miejsca i zajął pagórek Hobkirk. W dniu 25 kwietnia stoczył z Rawdonem potyczkę; został pobity utraciwszy 266 ludzi. Rawdon utracił 258 żołnierzy. Greene cofając się wziął 50 Anglików w niewolę i rozłożył się następnie obozem pod Rugeley's Mills. Rawdon obawiając się napadu, spalił miasto Camden i cofnął się do Nelson nad rzeką Santee. Inne oddziały dostały także rozkaz cofnięcia się. Greene podążył w marszach pospiesznych do Ninety-Six. Na początku czerwca posiadali Anglicy w południowej Carolinie tylko trzy główne miejscowości, tj: Charleston, Nelson i Ninety-Six.

Greene rozpoczął oblężenie ostatniej tej miejscowości z 1000 regularnymi żołnierzami i cokolwiek milicyi. Szefem inżynierów był Kościuszko. Ponieważ forteca była zbyt mocną, aby ją móżdż wziąć szturmem, rozpoczęto regularne oblężenie. Przeszło miesiąc leżeli tu Amerykanie, a słysząc, że Rawdon się przybliży, przypuścili szturm, który został odparty. Następnie coinęli się po za rzekę Seluda.

W innych częściach południa powodziło się patryotom cokolwiek lepiej. Lee zdobył w dniu 21



maja fortecę Golphin, 12 mil od Augusta położoną. Następnie wziął także szturmem Augustę, przy której to sposobności Amerykanie 51 ludzi utracili, Anglicy 52; 334 z nich zostało wziętych w niewolę. Podczas upałów nie przedsięwziął Greene żadnych kroków nieprzyjacielskich, lecz leżał spokojnie w obozie na pagórkach Santee, gdzie przybył do niego także jen. Sumter ze swym korpusem. Obaj udali się następnie do Orangeburg'u, gdzie się znajdował Stewart, następca Rawdon'a, który wyjechał do Anglii. Stewart cofnął się do Eutaw Springs, gdzie go Greene w dniu 8 września dogonił. Anglicy zostali wypędzeni ze swego obozu; lecz gdy Amerykanie pewni zwycięstwa rabowali namioty nieprzyjacielskie, zwrócili się Anglicy i zmusili ich po 4 godzinnej bitwie do odwrotu. Lecz i Stewart cofnął się, a Amerykanie zajęli znów w dniu następnym pobojuwisko (9 września). Obie strony przypisywały sobie zwycięstwo. Amerykanie utracili 555, Anglicy 693 ludzi.

Podczas gdy to się działo nad rzeką Santee, uwijali się Marion i Lee bardziej na południu i zmusili Anglików do cofnięcia się do Charlestonu. Na końcu roku 1781 posiadali Anglicy na południe Nowego Yorku tylko dwa miasta: Charleston i Savannah.

Cornwallis'a opuściliśmy po bitwie pod Guilford Court-house na marszu do Wilmington, dokąd przybył w dniu 7 kwietnia. Tu pozostał póty, dopóki nie dostał posiłków. Na wiadomość o marszu Greene'a do Camden udał się do Virginii chcąc przez to zniewolić tego generała, aby się udał za nim, a nie niepokoił Rawdon'a. W dniu 20 maja przybył do Petersburga, gdzie się z nim połączyli Philipps i Arnold. W Virginii znajdował się wtenczas La Fayette, którego korpus atoli nie był dość silnym, aby się mógł oprzeć Anglikom.

Aby zmusić La Fayette'a do czynu, udał się aż do Richmondu niszcząc i pustosząc wszystkie osady w drodze jego leżące. W czerwcu zwrócił się ku wybrzeżu ścigany przez La Fayette'a, Wayne'go i Steubena. W Williamsburgu dostał polecenie od Clintona, aby się trzymał w pobliżu wybrzeża tak, iżby w razie potrzeby mógł udać się do New Yorku, którego załozde groziło niebezpieczeństwo. W dniu 9 lipca chciał się przeprawić pod Old Jamestown przez rzekę James, lecz został zaczepiony przez jen. Wayne. Przeprawił się wprawdzie, lecz poniósł wielką stratę w ludziach. Następnie udał się do Portsmouth, a ztąd do Yorktown, gdzie począł się okopywać i budować reduty.

Francuzka armia pod jen. Rochambeau opuściła tymczasem Nową Anglią i złączyła się pod Dobbs Ferry z armią Washingtona, który zamierzał uderzyć na New York. Sześć tygodni czekał na hrabiego La Grasse, admirała, który miał mu pomóc przy zdobywaniu New Yorku. Clinton dostał tymczasem 300 świeżego żołnierza z Anglii; a La Grasse zaś doniósł, że w tej chwili nie może

opuścić Indyi zachodnich. Mimowoli musiał Washington zaniechać swego zamiaru i postanowił udać się do Virginii, aby pomóc La Fayette'owi przeciw Cornwallis'owi. Aby zbić Clintona z tropu napisał mylne listy do generała Greene w New Jersey, lecz wysłał je w taki sposób, iż musiały wpaść w ręce Anglików. Nim Clinton się dowiedział o prawdziwym zamiarze Washingtona, znajdował się ten już w Delaware. Zdrajca Arnold wysłany do Nowej Anglii zajął tam Fort Griswold, wyciął w pień tamtejszą załogę i spalił miasteczko New London. — Clinton wysłał także wodą posiłki dla Cornwallis'a, lecz admirała angielskiego Grades wstrzymała flota francuzka, która przybyła z Indyj zachodnich.

Cornwallis okopał się w Yorktown i Gloucester. Washington i La Fayette przybyli w dniu 20 września 1781 przed Yorktown i zmusili Anglików do opuszczenia redut zewnętrznych, poczem rozpoczęli regularne oblężenie. W dniu 9 października poczęli bombardować miasto i reduty nieprzyjacielskie jako też w pobliżu leżące okręty angielskie, z których kilka się spaliło. Jedna po drugiej padały reduty nieprzyjacielskie. Cornwallis utraciwszy nadzieję, że Clinton go poprze, postanowił w nocy na 16 października przepłynąć się przez rzekę do Gloucester, przebić się przez w pobliżu stojących Francuzów, i udać do New Yorku. Lecz burza, która nagle powstała, zapobiegła wykonaniu tego planu. Przeprowadzony do ostateczności poddał się wraz z 7000 żołnierzami Washingtonowi; okręty zaś wraz z ich załogą zabrał admirał La Grasse. W kilka dni potem przybył Clinton z 7000 wojska do Chesapeake zatoki, lecz było już po sprawie. Zmartwiony wrócił do New Yorku.

Wielka powstała radość po całym kraju, gdy się dowiedziano o zabranie armii angielskiej. Modły dziękczynne do Boga i Pana nad panów wznosiły się z kościołów, z domów publicznych i prywatnych i z namiotów żołnierskich. Chmury, które przez siedm lat wisiały nad Stanami Zjednoczonymi, poczęły się usuwać przed wschodzącym słońcem wolności.

W Anglii wywołała wiadomość o klęsce Cornwallisa niezmierne wrażenie. Lord North i jego koledzy, którzy przez 12 lat bałamucili naród angielski, zostali zmuszeni do rezygnacyi, a inni ludzie, dążący za pokojem, zajęli ich miejsca. W maju następnego roku przybył sir Guy Carleton do New Yorku z propozycjami ugody.



## ROZDZIAŁ IX.

Tadeusz Kościuszko — Kazimierz Pułaski.

Kiedyśmy już doszli w opowiadaniu naszym do chwili, w której stanowcze zwycięstwo pod Yorktown było główną przyczyną do wkrótce potem mającego się zawrzeć pokoju, nie będzie od rzeczy także wspomnieć o dwóch bohaterach polskich, którzy w tej wojnie o niepodległość amerykańską czynny brali udział, a których Amerykanie czcić będą, póki świat będzie światem. Tymi mężami są: *Tadeusz Kościuszko* i *Kazimierz Pułaski*. Nie będziemy tutaj opisywali ich czynów bohaterskich w ojczyźnie naszej Polsce, bo jesteście przekonani, że każdy prawy Polak zna historię sławnych tych mężów — lub przynajmniej znać ją powinien. Podamy tylko wkrótce krótki szkic życia ich tutaj w Stanach Zjednoczonych.



Tadeusz Kościuszko.

Kościuszko przybył do ziemi amerykańskiej w pierwszych dniach października 1776 r. nie mając żadnej rekomendacji, ani też listów polecających. Znal tylko z rozgłosu Franklina, członka kongresu. Do tego więc się udał. Ten przyjął go dość mile, lecz zawsze podejrzliwie, uważając go może za awanturnika, których w tym czasie

nie brakowało. Kościuszko zrozumiałwszy o co chodzi, powiedział po prostu, iż jest Polakiem, i ofiarował złożyć egzamin ze swych zdolności. Franklin sam będąc człowiekiem uczonym, znając geometryę itp. wybałał go z jego umiejętności, a będąc zadowolonym, doniósł o tem kongresowi, który zamianował Kościuszkę pułkownikiem. Jako pułkownik wstąpił Kościuszko w szeregi powstańców 18 października 1776 roku.

W czasie gdy Kościuszko przyjechał, zajęli byli Anglicy New York po klęsce patriotów na Long Island, w której koloniści utracili wiele przyborów wojennych, a wielu z nich dostało się do niewoli.

Źle stało z Amerykanami, Washington jeden nie tracił otuchy. Pełen wiary w zwycięstwo, gromadzi jak może rozpierzchające się niedobitki i cofa przez New Brunswick, Princeton i Trenton na drugi brzeg rzeki Delaware. Nastąpiły nareszcie bitwy pod Trenton i Princeton, któreśmy w innym rozdziale opisali. Kościuszko odznaczył się w jednej

jak i drugiej, zwracając co chwila na siebie uwagę tak przez swoją zimną krew, jak śmiałe natarcie. Był to dla Kościuszki egzamin z praktyki, który przekonał Amerykanów, jakiej to wartości człowiek. Od tego czasu przydzielono go do najważniejszych wypraw na pomocnika przy generałach Gates, Greene, Armstrong, aż w końcu Washington sam zatrzymał go przy swoim boku.

Nadmieniliśmy na innym miejscu, że gdy Bourgoyne nadszedł z niższej Canady, miejsce amerykańskiego generała Schuyler objął jen. Gates, któremu Kościuszkę przydzielono za adjutanta.

Było to 19 września 1777 r. Amerykanie znajdowali się pośród pagórkowatej okolicy Bemis, na obranem przez Kościuszkę stanowisku, oszańcowanem wybornie również przez niego. Tu stoczona została zacięta bitwa z liczniejszym o wiele nieprzyjacielem. Anglicy zostali pobici a pozostawwszy szpital i bagaże ratowali się ucieczką do Saratoga, gdzie nareszcie w dniu 17 października złożyli broń.

Wielka część ze sławy z tego zwycięstwa przypada na Kościuszkę. Przyznają mu to wszyscy współcześni. On to bowiem, a nie kto inny wybrał stanowiska obronne, on je oszańcowywał umiejętnie, urządził zasadzki strzelców celnych, które Anglików tak wielu pozbawiły oficerów dzielnych.

W trzy lata później spotykamy znów Kościuszkę w południowej Carolinie, dokąd go posłano z jen. Greene, który zajął miejsce nieszczęśliwego jen. Gates pozbawionego dowództwa wskutek stracenia bitwy pod Sanders Creek czyli Camden. Ani Greene ani Kościuszko nie zawiedli położonego w nich zaufania, uderzywszy bowiem na Anglików pod Eutaw Springs we wrześniu 1781 zadali im niezmierną klęskę, jak jedni historycy twierdzą. Inni zaś twierdzą, że bitwa była wprawdzie nierozstrzygniętą, lecz że Anglicy ponieśli takie straty, iż musieli opuścić wiele stanowisk zajmowanych i z częścią zamknęli się w Charleston, z częścią uszli do Virginii.

Spotykamy Kościuszkę znów przy oblężeniu fortecy Yorktown, do której przypuszczono szturm. Washington przed tym atakiem objeżdżał szeregi, zachęcając do męstwa i wytrwania w obronie wolności i niepodległości. Objężdżając trafił na lasek, w którym stał Kościuszko ze strzelcami mającymi rozpocząć nazajutrz atak a przemówiwszy do nich usłyszał odpowiedź Kościuszki: „jutro albo szaniec zdobędę albo sam zginę”.

(Dalszy ciąg nastąpi.)